

## Listy do Pani A. (11)



Stefan Jurkowski

W Alpach  
i gdzie indziej

Droga Pani!

Byłem ostatnio w Alpach. Nie tych, o których Pani pomyślała. Ale też bardzo pięknych. W kaszubskich. Otóż Dorota Ryst, znakomita poetka, zorganizowała tam warsztaty literackie. Konkretnie w Turowie, w gospodarstwie agroturystycznym Gacówka. Co za urokliwe miejsce! Cisza, spokój, duży staw, w którym akurat żaby dawały koncerty. Z wody wystawały dziesiątki łebków. Wyraźnie widać było nadymające się wokół łebków pęcherze. Pod powierzchnią pływały ryby. Pełna sielanka. Bardzo sympatyczni i gościnni gospodarze, rozmilowani w swoim gospodarstwie, tworzyli świetną atmosferę. A jakie dobre jedzenie! Pewnie Panią zaintryguje fakt, że konsumowałem ruchacz. Nie, nie zjadałem siebie samego... To coś pomiędzy racuchem a plackiem z naleśnikowo-drożdżowego ciasta. Znakomite! Ów racuszek ma nazwę kaszubską. Prawda, że oryginalna? Była też pieczeń z daniela. Jest tam hodowla tych miłych (i smacznych) zwierzątek.

Chyba przez całe życie nie nagadałem się tyle o poezji, co tam. Program warsztatów był bardzo napięty. Zajęcia były od śniadania do obiadu. A potem – po małej przerwie – do kolacji. Dorota wymyślała najrozmaitsze zadania. Uczestnicy musieli napisać klasyczny sonet, oktostych, limeryk, wiersze z użyciem podanych przez nią słów.

Próby były nader udane. Wszyscy przyznali, że umiejętność napisania klasycznego wiersza według wszelkich norm i rygorów bardzo kształtuje warsztat i jednocześnie owocuje podczas pisania wiersza wolnego, ponieważ autor jest wyczulony na pewien rytm, proporcje słowa, oszczędność i celność metafory. Późnym wieczorem odbywały się prezentacje poetyckie w plenerze, na pomoście nad stawem. Jednej z tych prezentacji towarzyszyło osobliwe chrupanie. Okazało się, że to kot pożerał jakiegoś upolowanego świeżo gryzonia. Zaiste, metafizyczno-eschatologiczno-turpistyczny akompaniament do liryki.

Uczestniczyły w warsztatach dwie uczennice z pobliskiego Miastka. Jedna miała szesnaście lat, druga czternaście. Byłem wprost zdumiony ich wyczuciem słowa, wrażliwością, udanymi próbami kreowania własnego, niekonwencjonalnego świata. To nie były utwory „dziewczyńskie”. Pomimo różnych niedociągnięć (cóż tu wymagać od czternastolatki) widać gołym okiem talent. Jeśli tylko będą go dalej rozwijać, to mogą się narodzić prawdziwe poetki.

Drugiego dnia zawieźli nas furką konną do lasu. Gdzie zwiedzaliśmy bardzo piękne zakątki. Pogoda dopisywała. Największą atrakcją była sama przejażdżka pojazdem sieczkopędym. Kiedy w drodze powrotnej wyjechaliśmy na szosę pod Miastkiem, bawiły mnie rozszerzone miny kierowców zmuszonych do jazdy w końskim tempie. Ot, wrodzona złośliwość, bo kiedy sam siedzę za kółkiem... Dobrze, że Pani ze mną nigdy nie jechała!

Pojechaliśmy z Dorotą Ryst moim samochodem. Po drodze, pod Płońskiem, wsiadła Karolina Zieleniec, poetka mieszkająca koło Pułtusza. Z wykształcenia psycholog, z zamiłowania – rzecz można – obywatelka ziemska i miłośniczka koni, wnuczka znanego grafika Bogdana Zieleńca, który ilustrował m.in. „Anię z Zielonego Wzgórza”. Bardzo sympatyczna dziewczyna. Potem, po czterodniowym poetyckim maratonie, wracaliśmy razem do Warszawy, tylko Dorota zatrzymała się jeszcze w Turowie.

W dwa tygodnie po powrocie do Warszawy przyszło moje zdjęcie przesłane przez straż gminną w jakiejś dziurze koło Tucholi, i wzywanie do zapłacenia mandatu. Okazało się, że przekroczyłem prędkość o 31 kilometrów na godzinę. Dozwolone było pięćdziesiąt na godzinę. A tak się starałem uważać, unikać radarów, zresztą sam z siebie nie lubię przekraczać prędkości. Jak to się stało? Gdybym choć jechał na spotkanie z Panią, to rozumiem! Trzeba będzie zapłacić, choć są więksi piraci drogowi ode mnie.

Bardzo lubię podobne imprezy, w ogóle warsztaty, pracę z adeptami poezji. Mówiąc im o literaturze, oceniając ich wiersze, jednocześnie mówię do siebie, uzmysławiam sobie i werbalizuję własne problemy, bo przecież tak na prawdę wszyscy piszący jedziemy na tym samym wózku. A właściwie tym samym pociągiem, tylko w różnych wagonach. Wymiana doświadczeń jest cenna dla każdego z nas.

Byłem potem w Ciechanowie na spotkaniu. Przyszła grupa młodych ludzi, starszych miejscowych poetów oraz Stefan Żagiel, znakomity poeta, dziennikarz, animator życia kulturalnego. Jechałem do Ciechanowa, a obok mnie siedziała Pani, i rozmawialiśmy o wszystkim – o pejzażu za oknami, poezji, życiu, dzieciach. Pani syn, podobnie jak moja Joasia przystępował do pierwszej komunii. Trochę nerwów ta cała szopa kosztowała, ale bez ekstremalnych sytuacji. Dzieci były w albach, uroczyście nader skromna, choć mocno zinfantylizowana. Szymon Hołownia w „Newsweeku” napisał felieton „Ostatni taki dzień w życiu”. Postawił tezę, że często uroczystość pierwszej komunii to „dla wielu ostatnia pozycja w duchowym kalendarzu szczęśliwych chroniących przed trafieniem do piekła”. To prawda. Formułki, dziecinne piosenki, zalecenie zakonnic dotyczące sposobu przyjmowania komunii (słyszałem na własne uszy): „nie gryziemy Pana Jezusa, Pan Jezus sam się rozpuści”, tworzą atmosferę groteskową, daleką od metafizycznej, duchowej powagi. (Kiedy to uslyszyliśmy z Anią, aż zaczęliśmy się turlać w ławce ze śmiechu. Tak można obrzydzić instytucjonalną religię na całe życie. Może to i dobrze? Na szczęście wyszliśmy ze wszystkiego obronną ręką. Nie spotkaliśmy żadnego katabasa idioty w rodzaju „proboszcza” z podkrakowskich Czarnochowic (pisała o tym „Gazeta Wyborcza”), który wymagał by podczas procesji składać banknoty na ołtarzu, bo na kościół trzebałożyć; albo na szamana, który – jak pewien proboszcz poznański – kazał dzieciom przychodzić w butach komunijnych

już od lutego, i rozbudował liturgię poza granice ludzkich możliwości. Jednak warszawscy jezuita ci bardziej życiowi, wykształceni, nowocześni. To zupełnie inna formacja, choć oczywiście w ściśle określonych granicach.

Z kataklizmem komunijnym połączył się kataklizm związany z wymianą rur i grzejników. Czy Pani to przeżywała? Ciekaw jestem, co by Pani powiedziała, gdyby zobaczyła, jak dziarsko przesuwam szafy, zdejmuję z regałów książki, a potem – po remoncie – układam je na nowo. Nawet nie wiedziałem, że to mi tak sprawnie pójdzie. Być może miałem wrażenie, że Pani rzeczywiście na mnie patrzy, i to mnie tak dopingowało. A może po prostu zwykła męska ambicja; jak to, ja sobie z szafą nie poradzę?!

Ania zobowiązała mnie, bym jej zostawił kluczyki do samochodu, bo musi odebrać Joasię ze szkoły. Mało zawału nie dostałem. Nie lubię używać nikomu samochodu. Ciekaw jestem, czy gdyby mnie Pani o to poprosiła... Może też bym używał jakichś wybiegów, bo raczej nie dalbym samochodu z radością nawet Pani. Zostawiłem więc kluczyki, bo z drugiej strony wiem, że to dziwactwo. W rodzinie jeździ się tym samym autem, i nikt z tego powodu nie dostaje szału, tak jak ja. Muszę się przełamać. Ale, że boli, to boli.

Szkoda, że nie ma Krysi Koneckiej, bo pojechała do Anglii. Opisałbym tę sytuację, a ona by na mnie nakrzyczała. Ile razy Krysia na mnie nakrzyczy, tyle razy – choć na chwilę – dochodzę do rozumu. To pomaga pozbyć się dziwactw, natręctw, czyli tak zwanego – uczciwszy uszy Pani – pierdolca. A może Pani huknie na mnie pełną i kształtną pierśią?

A potem znowu powrót do poezji. Miałem wieczór autorski w OKU, czyli w Ośrodku Kultury Ochoty. Aktor, Zdzisław Sobociński czytał moje felietony o zapamiętanej Warszawie, które kiedyś drukowałem w „Życiu Codziennym”; czytał również wiersze. Oczywiście, czytałem i ja. Były to utwory najnowsze, jeszcze nie publikowane nigdzie. Duża sala była prawie pełna. Wywiązała się rozmowa wspomnieniowa, a także o moich wierszach. Potem czytelnicy, zwłaszcza starsi, podchodzili do mnie, zachwycali się atmosferą tego spotkania, chwaliли prezentowane teksty, uzupełniali to, o czym w felietonach nie napisałem, dzielili się swoimi wspomnieniami o Warszawie zapamiętanej z dawnych lat. Ja sięgam pamięcią do około 1956 roku, ale starsi pamiętają miasto o wiele wcześniejsze, tuż powojenne. To wszystko było bardzo ciekawe. A ja zadawałem sobie wciąż to samo pytanie: co w tym wszystkim jest takiego, że się ludziom podoba? Przecież to co robię jest najzwyczajniejsze w świecie.

W zaciemnionej sali siedziałem z Sobocińskim na estradce, w oczy świeciły oślepiające reflektory, widowni prawie nie można było dostrzec, ale ja w pewnym momencie zauważyłem Panią. Czy to była tylko gra świateł? A może Pani rzeczywiście towarzyszy mi podczas najrozmaitszych spotkań, a nawet w zwykłej codzienności? Przepraszam za tę niepoprawną poetycką wyobraźnię. A jednak nie czynię mocnego postanowienia poprawy, bo wtedy nie byłoby następnego listu.

Tymczasem bardzo Panią pozdrawiam –

STEFAN JURKOWSKI

